ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Marca | N^{er} 9. | Roku 1843.

JASKINIA KLEFTÓW.

Od strony zatoki Lepanto, pnie się stromo Parnasu góra na jakie sto łokci w niebiosa. Tam było dla Greków, muz siedlisko. Niedostępną, dzikiémi burzami poszarpaną wysoczyznę Parnasu, miał umny Heleńczyk za symbol: że ciężkiém do szczytu poczyi nikt nie wzbije się skrzydłem!

U stóp téj góry rozściélała się piaszczysta, bezkrzewna równina Liwadyi, umajona gdzie niegdzie bukietem rozmarynu, tymianu i lewandy.

Słońce paliło rzucając prostopadle promienie. Zdało się, że cała dolina drżała; rozpalona, parą ziejąca ziemia, sprawiała to rzadkie zjawisko, które w gorącéj strefie *fata morgana* stwarza. Młody mężczyzna z strzelbą w ręku, zatrzymawszy się u podnóża skały, szukał nadaremno cienistego schronienia.

Z ubioru wyglądał na Greka: na głowie miał *fez* czerwony; opaska z białego płótna wiła się około nogi; misternym, bogatym haftem jaśniał oryjentalny krótki kaftan, a szérokie spodnie układały się pod kolanem w rzęsiste przeguby. Ale w twarzy nie było widać charakterystycznéj cechy Greka, téj chytrości w oku, co z dzikiém sercem, idzie o piérwsze w zawody. Po białéj cérze, blond włosach, i brwiach cienko zasianych, poznałeś w nim syna północy.

Byłto Trelawney, dandy angielski. Rewolucyja grecka wywołała całe zastępy Byronów. Przygody *à la Byron* weszły w modę. Rozmarzony poezyjami tego wieszcza Trelawney, chciał pokochać wtórą Haideę, Gulnarę; na ziemi greckiéj, miały wzejść przed natchnioną jego źrenicą, te urocze kwiaty, opiéwane przez wielkiego poetę. Trawiony gorączką, chcąc zasłynąć w świecie przygodami, opuścił wyspy jońskie, i oto stanął u stóp Parnasu. Nagle słyszy lekki szelest, obraca się, i widzi z podziwieniem cudnie piękną dziéwczynę, któréj imponująca postawa zdawała się przemawiać: »Jam tu panią, ja rozkazuję!« Zachwycenie bierze mu wszystkie zmysły, słowo skonało na ustach, oko uwięził w twarzy pięknéj Greczynki.

Bo też heleńska córa była piękną jak Gracyja i dziwnie pięknie było jéj w ubiorze greckim! Strumienie kruczych włosów ujęte według zwyczaju krajowego w warkocze drobne, spływały po miękkich, pieściwych ramionach; jedwabna chusteczka u podbródka misternie związana, tworzyła różową girlandę około twarzyczki, pięknéj jak lice huryski! Z pod jedwabnéj tuniki, natkanéj złotémi guzikami, obciskającéj wiotką kibić wtóréj Gulnary, spływała w sutych fałdach jedwabna suknia z dwoma czarnémi pasami u dołu, bijąca śnieżną białością. Ślicznie utoczoną nóżkę pieściły się złotem przetykane, cytrynowéj barwy meszty, na których nie było ani śladu pielgrzymki po górzystéj drodze. To świeże ubranie, dziwnie odbijało od dzikiéj ustroni.

Wolno-myślący Trelawney, nie wierzył ani w duchy ani Elfy, nie mógł też wmówić w siebie, że to *fata morgana*, bo ręką mógł się dotknąć téj nadludzkiéj istoty; przemówił więc wzorem Eneasza lub Ulisesa: »Jesteś Wenerą lub Dyjaną, nimfą, muzą, lub towarzyszką królowéj aniołów zstępującéj z nieba na promieniach złotéj gwiazdy?«

Lekki uśmiéch pustoty zaigrał na różannych ustach uroczéj dziéwicy. Trelawney nie oczekując odpowiedzi, mówił daléj z coraz większém uniesieniem zapału:

»Piękna bogini, jeźli jesteś w rzędzie istót śmiertelnych, jakim tu zjawiasz się cudem, że cię moje nie dostrzegło oko? Czyś z łona ziemi w świat wystąpiła? Gdzież ja zabiegłem? Rozwiąż mi tę zagadkę.«

»Cóż tu porabiasz w blizkości naszego pomieszkania?«

»Twoje pomieszkanie.... gdzież ono jest, powiédz przez Boga!«

»Jeźli jesteś przyjacielem Greków, pokój niech będzie z tobą. Jeźli zaś pod maską przyjaciela, ukrywasz serce szpiega, dni twoje już policzone! Na moje skinienie powita cię gęsty grad strzałów.«

»Co mówisz urocza wdziekini? Nie widzę żadnego krzaka, za którymby się klefta lub szypetar jaki mógł przyczaić.«

»Czy tak sadzisz?«

»Ja zamiar twój zgaduję: chcesz mnie nabawić trwogi, ale chociaż jesteśmy sami, a ty czarujesz urokiem wdzięków, nie miéj przeto najmniejszéj obawy.«

»Ja miałabym się lękać? Nie widziszże tysiąca ócz, które na ciebie zwrócone.«

»Ja widzę tylko ócz dwoje i radbym w nie patrzył do końca świata.«

»Nie dajesz mi wiary?« zapytała Greczynka; to mówiąc, dała znak śrébrną piszczałką wiszącą u jéj przepaski. Huk działa rozlégł się w powietrzu, a o pięćset kroków od naszéj pary, zaryła się w ziemię kula, cisnąwszy w niebo chmurą piasku i pyłu.

Trwogi nie znała dusza śmiałego syna Albionu, Trelawney rzucał się chętnie w przepaść niebezpieczeństwa, jego żywiołem było życie awanturnicze. Z radością postrzegła nadobna Greczynka, że twarz Anglika nie zmieniła się bynajmniéj na hukliwy odgłos działa. Gdy kłęby dymu wiatr rozegnał, ujrzał nasz bohatér uzbrojone postacie za urwiskiem góry Parnasu.

»Przysięgam na mój oręż, że to walna sprawa«, zawołał z radością syn Albionu. »Mamże zaszczyt mówić z szlachetną Bobołiną, siostrzenica Kolokotroniego?«

W owymto czasie (w roku 1825) wszczęły się roztérki między mieszkańcami Morei i Rumelii. Dumni Rumelijczykowie pogardzali mieszkańcami Morei; nasza więc Greczynka, jako obywatelka téj wyspy, przyjęła z niechęcią zapytanie Anglika.

»Bogu dzięki, nie jestem Bobolina.«

»Imię tutejszego naczelnika kleftów?«

»Ulises.«

»O, szczęsny Ulisesie, co w tych górach tak piękną, nadobną małżonką pochlubić się możesz!« —

»Nie jestem żoną, ale siostrą Ulisesa.«

»Zawsze zazdrości godzien ten klefta, który tak piękną ma towarzyszkę życia.«

»Jestem wolną.«

»Kochaszże bardzo twojego brata?«

»Mego Ulisesa? Nie zasługujeż on na miłość najtkliwszą?«

»Chceszże mu dać przyjaciela, który mu będzie wiernym aż do śmierci?«

»Któż jest tym przyjacielem?«

»Wielbiciel Greków, który się poświęci za sprawę Ulisesa.«

»Z kądże przybywa?«

»Z Anglii, imię jego Trelawney, ja nim jestem.«

»Ulises poda ci rękę przyjaźną.«

»Przez wyspę Zante dostawię mu broni i ludzi, skoro będzie potrzebował. Mój cały majątek oddaję na rozkazy Ulisesa, dowódcy kleftów.«

»A czegoż żądasz w nagrodę?«

»Ręki siostry Ulisesa.«

Tak niespodziane oświadczenie, rzadko kiedy oburza serce kobiéty, a nasza bohatérka nie była tak skalistą, jak góra Parnasu. Ale Greczynka nie tak prędko zdradza tajemnicę swojego serca.

»Posłuchaj«, rzecze po chwili namysłu, »co ci powiém: Rozważ dobrze moje słowa. Niedaleko z tąd jest niedostępna jaskinia, siedziba bitnego Ulisesa, prawdziwe gniazdo orle. W niéj można pomieścić dwa tysiące ludzi i zaopatrzyć na lat dziesięć żywnością, prochem i bronią. Znajdziesz tam dom dla chorych, skład broni. Przez otwory, ręką natury utworzone, stércza działa niewidne dla oka obcego przybysza. Wchód do téj jaskini ma taką formę i takie urządzenie, że bomby do téj niezdobytéj warowni rzucane, w odskok idą i na powrót w obleżeńców uderzają. Do téj jaskini prowadzi ścieżka. Ty jéj nie znajdziesz, chociaż jest z tąd o kilka kroków. Tą ścieżką przyszłam tu, w te miejsca.«

»Nadaremniebym jéj szukał.«

»Posłuchaj daléj: Wskażę ci tę ścieżkę, zaprowadzając cię przed Ulisesa. Przyjmie cię mój brat, zostaniesz członkiem naszéj rodziny. Jeżli cię zaś odtrąci strzał z pistoletu lub pchnięcie *jataganem*, zagrzebie wraz z tobą i tę tajemnicę, do któréj przypadkiem przyszedłeś. Teraz wybieraj, możesz przyjąć mój plan lub go odrzucić.«

»Przyjmuję«, odrzekł Anglik z mocném postanowieniem.

»Rozważ cudzoziemcze! Jeszcze czas odstąpić od twego przedsięwzięcia! Możesz spokojnie z tąd odejść, działa tam w górze najeżone, niech cię bynajmniéj nie lękają. Ja ci to poprzysięgam, ja, siostra Ulisesa.«

»Powtarzam, że przyjmuję twoje warunki.«

»Dobrze więc, pójdź za mną.«

Oddaliwszy się trzy kroki z miejsca, trąciła Greczynka o bryłę skały spoczywającéj na zawiasach; bryła się podniosła, oboje weszli do tajemnéj kryjówki, bryła zapadła znowu, a Greczynka zasunęła za sobą żelaznym ryglem ruchomą skałę.

Długo szli oboje w ciemności do góry po wązkich, krętych wschodach. Doszedłszy do samego szczytu, rozwidniła się jaskinia, a Trelawney ujrzał ogromną kupę kamieni, którą, za lada dotknięciem, można było zasunąć wiodące do góry wschody. Nareszcie dostali się do właściwéj siedziby kleftów, tam spotkał nasz bohater

twarze ponure z owisłémi wąsami; u każdéj postaci błyszczała za pasem para pistoletów i kandszarów. Bylito Majnoci, Albańczycy, Szypetarowie. Ośm i dwunastu-funtowe działa, małe armatki ciskające dwu-funtowémi kamieniami, leżały na lawetach. Nie każdemu wolno było wchodzić do jaskini po wschodach tajemnych, samym jeno kobiétom albo kiedy szło o jaką tajemną wycieczkę. Zwykle zaś spuszczano się w dół po drabinie, i tą samą drogą dostawano się do jaskini.

Z tąd dopiéro zaprowadziła Greczynka naszego bohatéra do ogromnéj groty, oświetlonéj dzienném światłem, które, otworem przez naturę zdziałanym, w głąb wpadało. Świegotne szeptanie źródła, miészało się z głuchym szmerem głosów ludzkich, zamieszkujących tę olbrzymią jaskinię.—Źródło toczyło swój strumień w kotlinę, z kąd dzbanami wodę czerpano. Drugiém ramieniem płynął strumień źródła w odleglejsze miejsca jaskini, gdzie Ulises dla kobiét i mężczyzn założyć kazał kąpiele.

W całém urządzeniu widna była roztropność, oglądająca się zarazem za bezpieczeństwem i wygodą. Postarano się o składy na drzewo, zboże, broń; pozakładano stajnie dla bydła. Na drugim końcu jaskini w kutéj skale, mieściła się prochownia. Długie galeryje, ręką natury w skale wyżłobione, obrócono na koszary dla zbrojnych kleftów. Były tam osobne miejsca zgromadzenia dla kobiét, osobne dla starców. Znów inne wschody w skale wiodły do pomieszkania samego dowódcy, jego rodziny i sług najwierniejszych. Byłato cytadela w twierdzy. Na tém miejscu ustawiono działa, którémi wszystkie wychody i galeryje ostrzeliwać było można.

Ulises otoczony gronem swojéj rodziny, puszczając kłęby dymu przed siebie, siedział na dywanie z założonémi na krzyż nogami. Niespodziane ukazanie się obcego człowieka, zdziwiło go niemało, spojrzał dzikiém okiem.

»Mój bracie!« rzekła Greczynka, »przyprowadzam ci wielkiego przyjaciela Greków.«

»Ależ Mariezzo!« odrzekł naczelnik kleftów, brwi zmarszczywszy. »Bardzoś nieroztropnie sobie postąpiła.«

»On przyjął podane mu warunki.«

»Czy go znasz?«

»Mówię ci mój bracie, że on chce umrzéć, jeżli go nie przyjmiesz.«

»I dla tegoto kazałaś wypalić z działa? Co za lekkomyślność! Mariezzo, to mi się bardzo nie podoba.«

»Dla czegożto Ulisesie!« przemówił Trelawney, »nie chcesz miéć przy sobie oddanego ci wiernie Anglika?«

Twarz Greka była zawsze jednakowa, ale iskrzącém okiem przeszywał przybysza. Sama Mariezza nie mogła odgadnąć myśli swojego brata, i w trwodze patrzyła na usta naczelnika kleftów. Po długiéj chwili milczenia, uderzył Grek o stół młotem i rzekł do sługi:

»Cztérech ludzi z nabitą bronią niech mi tu zaraz stanie!«

Gdy to mówił, patrzył ciągle szatańskim wzrokiem na cudzoziemca.

Cztérech kleftów stanęło z bronią w ręku.

»Wyprowadzić tego człowieka na plac przed koszary, i rozstrzélać go!« rzekł Ulises.

Na te słowa oburzona Mariezza stanęła między Anglikiem a kleftami, i rzekła z goryczą: »Jako? Myślisz Ulisesie, że ci dozwolę podeptać prawa gościnności? Przyjaciel Greków zostaje pod moją opieką!«

»Ustąp Mariezzo, on jest szpiegiem.«

»Nie jest nim; przymuszasz mię do wyznania Ulisesie: on tu dla mnie przybył, on chce twoję siostrę zaślubić.«

»Tak jest«, zawołał Trelawney. »Kocham twoję siostrę; jeźli mi oddasz jéj rękę, znajdziesz we mnie wiernego towarzysza, świętémi związkami przywiążesz mię do swojéj sprawy.«

»Alboż nie wiész o tém, że ja nie uznaję władzy Amfiktyjonów z Napoli di Romania. Owi Mauromikali, Trikupi, Bokarysowie skradli owoce powstania i siebie niémi tuczą. Ale Ulises nie idzie tą drogą hańby!«

»Ja się oto nie pytam. Ulises będzie moim dowódcą, skoro moim bratem zostanie.«

»Jakąż nagrodę przyrzekł ci senat za twoję zdradę?«

»Wstydź się Ulisesie.«

»O!... pojmuję cię, nim zdołasz dokładnie wyszpiegować nasze kryjówki, tak długo chcesz być mężem Mariezzy.«

»Ulisesie tego za wiele«, zawołała Mariezza z oburzeniem, »on nie jest szpiegiem, jam go tu sama sprowadziła, jam sama winna, że on stawa tu przed tobą.«

»Ta miłość zbyt mi spieszno wyrosła!« rzekł szyderczo Ulises.

»Kiedyś tak niedowierzający, więc śmiało ci wyznaję, że ten Anglik jest mi drogi, że go kocham!«

»Takiémito są kobiéty! Wszędzie widzą miłość i nic więcéj jak miłość! Ale mimo to wszystko ten biało-włosy Anglik, dziś jeszcze rozstrzélany będzie. Milcyjadesie, przywołaj księdza Cyryla; nie chcę mu odmawiać duchownéj pomocy!«

Mariezza strwożona, użyła groźb i narzekań, oświadczyła, że ciałem swoim zasłoni cudzo-

ziemca. Ale dziki klefta był niewzruszony. Gdy duchowny przyszedł, przemówił Ulises témi słowy: »Szanowny ojcze, macie tu przygotować młodego człowieka w daleka podróż. Przywdziejcież szaty uroczyste i badźcie skoro z powrotem.« — To mówiąc klefta, nie zdejmował oka z cudzoziemca, i śledził pilnie, jakie na nim wrażenie sprawia to przygotowanie do śmierci. Ale nasz bohatér miał dobrzo w pamięci owe wzniosłe charaktery Byrona: Childe-Harolda i Giaura i zapragnął sprostać w meztwie tym szczytnym wzorom. Śmiałém więc spojrzeniem spotkał swojego przeciwnika, mezka odwaga mieszkała w rysach twarzy jego; żal mu jeno było, że będzie musiał opuścić Mariezzę, któréj oko łzą zapłynęło.

Tymczasem duchowny wrócił w uroczystém przebraniu, żołniérze stali z bronią nabitą. Ulises sam brał jedną broń po drugiéj do ręki, i patrzył, czy dobrze nabita; poczém rozkazał więźnia zaprowadzić na miejsce, gdzie z rozkazu naczelnika oddział kleftów był ustawiony.

Mariezza z srogim gniewem spojrzała na brata, zaléwając się łzami szła za swoim kochankiem. — Ulises szedł zwolna za nimi; przyszedłszy na wyznaczone miejsce, rozkazał przystąpić duchownemu, i rzekł groźnym głosem:

»Tu Mariezzo uklęknij przy twoim przyjacielu, a ty księże Cyrylu..... połącz mi natychmiast tę młodą parę małżeńskiemi ślubyl«

Któż opisze wrażenie, które te słowa sprawiły! Trelawney stał jak skamieniały z podziwienia, a w czarnych oczach Maziezzy błysnęły łzy radości.

»Cudzoziemcze! Chciałem cię wystawić na próbę, czy masz odważne serce i czy mogę cię z chlubą nazwać bratem moim!« rzekł Ulises z tą samą co dawniéj obojętnością.

»Zaufaj mojéj przyjaźni. Będę ci wierny, jak Orest Piladesowi.«

»Kleftowie, niech odgłos nabitéj broni rozlegnie się w powietrzu na znak radości! Dziś sto owiec pieczonych stanie na stole, a dwadzieścia szawłoków wina, otworzy się na gody wesela.«

Resztę dnia i kilka następujących spędzono na uczcie. Drugiego dnia wieczorem przybywa wysłaniec od baszy z Negropontu, niegdy przyjaciela brata Mariezzy, i oznajmia, że Gouras, jeden z poruczników wojska Ulisesa, stał sie odszczepieńcem, porzucając chorągiew naczelnika kleftów. Basza wzywa go teraz, aby się połączył z Wassilim Rumeli, który w 13,000 Turków i Albeńczyków wyrusza do Grecyi. Chytry naczelnik kleftów nie chciał ani połączyć się z Turkiem, ani też z Grekami wejść w ściślejsze sojusze — pragnął jeno złamać siłę Goura, który mając wpływ w Liwadyi, mógł łatwo kraj ten podżegać do buntu.

Ulises porucza naczelne dowództwo w jaskini Anglikowi, a sam się w 1,500 ludzi ku Wschodowi udaje.

Nie chcemy krok w krok iść za naczelnikiem kleftów, dość na tém, że wkrótce potém opuszczony od swoich przyjaciół, odcięty od swoich braci, musiał się poddać. Szlachetny Ulises kładzie ten warunek, aby mu wytoczono proces, gdzieby mógł okazać, iż się nie zmazał zdradą. Goura posłał go jako więźnia do Akropolis w Atenach. Poczém wyruszył ku jaskini kleftów, ale obecność Trelawneya, obróciła w niwecz jego zabiegi. Anglik odrzucił wszelkie warunki kapitulacyi. Goura już był utracił nadzieję, aby posiąść kiedy tę niezdobytą warownię, gdy oto zjawia się w obozie szkocki awanturnik, Fenton nazwiskiem, który nie dla sprawy heleńskiéj zbieżał ku pomocy, ale dla tego jedynie, aby korzystał z rozterek Grecyi.

»Jakaż mi dasz nagrodę?« rzekł Fenton do Goura, »jeźli tę niezdobytą jaskinię oddam w twoje ręce?«

»Dam ci zwierzchnictwo nad Liwadyją; wątpię jednak, abyś mógł dotrzymać twego przyrzeczenia.«

»Jam sędziwego Ulisesa podszedł zdradą, czemużbym jego szwagra, młokosa, nie miał wywieść w pole!«

»Do téj chwili byłem téj myśli, że to ja wziąłem Ulisesa w niewolę«, rzekł Goura.

»Chciéjmy się porozumieć. Dopuszczam, żeś ty go osadził w więzieniu. Ale miałżeś w ręku jakie dowody o jego zdradzie? Niepodległy Ulises nie walczył dla Turków, on walczył dla własnéj sprawy. Nie mogłeś go przeto skazać wyrokiem. Jamto ukuł tę strzałę, która mu śmierć zadała. On mnie znał, służyłem pod jego dowództwem; aby go przekonać o mojéj wierności, dzieliłem z nim w Akropolis więzienie. Razu jednego, gdym wyciągnąwszy z ukrycia sznur, rzekł do niego: »To narzędzie otworzy ci więzienie«, zapytał spieszno: »A długość tego sznura....?«

»Trzydzieści i pięć łokci, właśnie tak długi, jak ta wieża wysoka.«

»Tyś moim przyjacielem«, rzekł z rozczuleniem, »za nadejściem nocy, odetchnę wolném powietrzem, porzucę moje więzienie.«

»Może już cię więcéj nigdy nie obaczę«, rzekłem z udanym smutkiem. »Daj mi świadectwo, com dla ciebie uczynił; może mi kiedy u twoich, na co się przyda.«

I wtedyto napisał mi te słowa, które tu czytać możesz: »Ja Ulises, uznaje wierne usługi

Szkota Fentona, przyjaciela Greków. O, gdybym kiedy mógł odpłacić mu przyjaźń jego! Polecam go moim przyjaciołom, krewnym, a mianowicie mojéj rodzinie.—Ulises.«

»Gdy miesiąc zaszedł, przymocowałem sznur do okna wieży, Ulises, jako góral, spuszczał się w dół po zawiązanych guzach sznura, z rzadką zręcznością.«

»I cóż.....?«

»Domyśl się reszty. Jego życie było w mojém ręku; odwiązałem sznur, i.... Ulises kark skręcił.« — Goura pokrył uczucia, któremi go takowa zdrada przejęła.

»Cóż zamyślasz z Trelawneyem?« rzekł Goura. »Jutro śród dnia, gdy kleftowie paląc fajki, powysuwają głowy ze swojéj jaskini, rozkażesz za mną strzelić ślepym nabojem, tak, aby nieprzyjaciel widział, iż mnie ścigasz swoją nienawiścią. Ja będę uciekał ku jaskini, tam przyjmą mnie za okazaniem pisma Ulisesa... a potém, zrobię to z Trelawneyem, com zrobił z Ulisesem.«

Goura lubo z pogardą w sercu, przystał na zdradę. Fenton udał się w pomieniony sposób nazajutrz do jaskini. Trelawney wiedział już o losie Ulisesa, ale nie znał wszystkich szczegółów tego wypadku, nie wiedział o zdradzie. Na opowiadanie zmyślone przez Szkota, cała jaskinia rozlegała się na nowo od jęków. Mariezza i jéj małżonek, szukali ulgi dla swojéj boleści w okazaniu wdzięczności Fentonowi, który z narażeniem swego życia chciał Ulisesowi do ucieczki dopomódz. Odtąd uważano go za członka rodziny. Sam Trelawney przylgnął do niego z większą ufnością i zawierzeniem, jako do swego rodaka, jako do człowieka mającego więcéj ogłady i więcéj światła. Nie zaniedbał też Fenton korzystać z téj życzliwości, i przypatrywał się pilnie wszystkim przystępom i kryjówkom jaskini.—Aby naczelnika Greków jaskinię oblegających uwiadomić, w jaki sposób ma uderzyć na twierdzę kleftów, odlał z ołowiu wydrążone kule i włożył w nie mały zwitek papiéru.

Razu jednego przyniesiono z potyczki do obozu Goury, ranionego przez Fentona żołniérza, któremu kula w biodrze utkwiła; lékarz wyrzynając kulę, zdziwił się niezwyczajną jéj formą; kazał kulę rozciąć i oddał naczelnikowi zwitek następującéj treści: »Niech oddział wojska podejdzie w nocy pod skałę i niech się zatrzyma przy tajemnych wschodach.« — Tu opisał zdrajca dokładnie wchód do tajnéj kryjówki. — »Postaram się o to, aby usunąć naczelnika. Ognie zapalone na trzech miejscach, niech oznajmią dzień, w którym przedsięwzięcie nasze ma przyjść do skutku.«

Już w nocy nazajutrz ujrzał Fenton trzy gorejące łuny. — Trelawney i Fenton poszli o zakład, który z nich celniejszym strzelcem. Mariezza trzymała stronę swojego małżonka. To było nie na rękę chytremu Szkotowi, który dla uskutecznienia swego podstępnego planu chciał sam na sam z naczelnikiem pozostać w jaskini. Dla tego odłożono zakład. — Z brzaskiem dnia wyszli obadwaj zapaśnicy. Mariezzy nie było przy boku męża. Trelawney wysławszy piérwszy strzał, szedł ku celowi, aby się przekonać, gdzie kula uderzyła, ale zaledwie odszedł kilka kroków, już padł na ziemię, z tyłu kulą ugodzony. Morderca chciał się ratować ucieczką, zbiegając na dół po tajnych wschodach. Ale nim jeszcze zdołał pominąć dwadzieścia wschodów, ogromna kupa kamieni runęła na głowę podłego zdrajcy. Mariezza pospieszywszy na piérwszy odgłos strzału, ujrzała upadającego małżonka. Mariezza była Greczynką, nie straciła przytomności, zemsta wzięła górę nad boleścią. W okamgnieniu trąciła za uciekającym po wschodach mordercą kupę kamieni, które się z okropnym łoskotem w dół stoczywszy, na miazgę go zgruchotały. — Mariezza trzymała już w ramionach skrwawionego małżonka, gdy się kleftowie zbiegli. Przywołano lékarza, rana nie była śmiertelną, wyjęto kulę, i obwiązano ranę troskliwie. Przyszedłszy do siebie, zapytał Trelawney: »Gdzież jest Fenton?« Opowiedziano mu jego śmierć, którą poniósł jako zasłużoną karę.

Po długiéj niemocy wyzdrowiał Trelawney. Nieprzyjaciel oblegał nadaremnie niedostępną jaskinię; nareszcie kapitan Stuart otrzymał polecenie, aby był pośrednikiem w układach między małżonkiem Mariezzy a rządem greckim.

Po śmierci Ulisesa, nieprzyjaciele jego: Maurokordatowie, Christydesy, Mialisowie nie mieli już żadnéj nienawiści przeciw młodemu Trelawneyowi, który śród honorów wojskowych opuścił swoję bezpieczną jaskinię, rozdzieliwszy wprzód, przez Ulisesa zebrane w Liwadyi skarby, pomiędzy kleftów, swoich towarzyszy, i rodzinę Mariezzy.

PIÓRKO DO ZĘBÓW.

George Jacques Danton był na początku francuzkiéj rewolucyi, ubogim adwokatem, mającym więcéj długów niż majątku. Nieukrócona duma i żądza sławy wygnała go na krwawe pole rewolucyi. Pojął za żonę piękną Lucyliję, która mu wniosła posagu 4 milijony liwrów. Danton był smakoszem piérwszego rzędu, lubiał ucztować w gronie wesołych przyjaciół, kiedy spienione szampanem kielichy krążyły w koło. Jednym z najpoufniejszych przyjaciół tego dzikiego męża

rewolucyi, był Fabre d'Eglantine, naprzód członek wędrującéj trupy aktorów, a w czasie rewolucyi, nieodstępny poplecznik Dantona. Między dwoma kierownikami rewolucyi, Robespierrem a Dantonem, nastąpiło było rozdwojenie, które duma obu naczelników rozdęła w płomienie nienawiści i zemsty. Upadkiem jednego chciał drugi wzróść w potęgę. Saint Just, stronnik Robespierra, podzielał to zdanie: że trzeba ugiąć dumną głowę Dantona, która śród tłumu wybiegła nad inne, ale chciał jeno przyjaźniejszéj oczekiwać chwili, dopóki się nie przerzedzą liczne zastępy klubistów, stronników Dantona, których sobie zjednał złotem i bijącą jak grom wymową.

Pewnego dnia rzekł St. Just do Robespierra: »Wiém, że nie nawidzisz Dantona, i ja go ścigam całą moją nienawiścią; krew naszego wroga musi zrumienić ostrze gilotyny. Wiész także, jak silném jest stronnictwo Dantona; dla tego radzę ci, zbliż się na pozór ku niemu, wejdź z nim w pojednanie, nim zdołasz podłożyć minę, która nienawistnego nam wroga wraz z czeredą popleczników jego, wysadzi w powietrze.«

»Mamże wyjść naprzeciw niemu, zginać się po jego przyjaźń, robiąc piérwsze kroki do pojednania?«

»Tego nie pragnę, znam twoję dumę, ale ty wiész także, że tego wyniosłego dębu nie nagniesz tak łatwo. Potrzeba, abyście się zejszli przypadkiem.«

»Jakimże sposobem?«

»Tacy jak Danton są najskłonniejsi do zgody przy pełnym kielichu, dymiących półmiskach. Niech więc miejscem przypadkowéj schadzki będzie restauratornia. Znam dobrze Dantona, nasz zamiar udać się musi.«

Jeszcze tego samego dnia umawiał się Saint Just z Fabre d'Eglantine. »Sam przyznasz, że niezgoda między Robespierrem a Dantonem nabawia niemocą oba stronnictwa; obaj połączeni, mogliby zawładnąć całym konwentem, niedołężne fakcyje zdeptane, nie podniosłyby więcéj ohydnéj głowy. Ta wewnętrzna niezgoda rozszérza coraz bardziéj tę przepaść, którą tylko jednego lub drugiego zguba zapełnić może. Jedyną zbawę widzę w zbliżeniu się pojednawczém obu naczelników.«

»I ja podzielam twoje zdanie«, odrzekł Fabre d'Eglantine. »Mówiłem niéraz Dantonowi, aby się zbliżył do Robespierra.«

»Sądziszże, że on da się nakłonić?«

»Mam nadzieję, skoro Robespierre nie będzie od tego.«

»Jeźli tak, to dobrze. Dziś wieczorem między godziną dziesiątą a jedynastą przyjdź wraz z Dantonem do kawiarni Corazzi, tam zastaniesz mnie i Robespierra. My udając, że nas przypadek w jedno miejsce sprowadził, wszczniemy rozmowę; suta wieczerza w osobnym pokoju dokona resztę naszego planu.«

Jak sobie ułożono, tak się też stało. O umówionéj godzinie znaleźli się wszyscy cztéréj w kawiarni Corazzi. Po zimnych ukłonach zaczęto obojętną rozmowę, która się coraz bardziéj ożywiała. W końcu rzekł Fabre: »Jeźli pozwolicie, w osobnym pokoju będzie można swobodniéj pomówić.«

»Niech i tak będzie«, odpowiedział Danton.

»I ja nié mam nic przeciwko temu«, rzekł Robespierre. Zasiadłszy za stołem w gustownym salonie, ozwał się Robespierre: »Nieporozumienie staje zaporą między naszémi drogami. Wyznaję, żem miał was za odszczepieńca.«

»Niesłuszność była na waszéj stronie«, odrzekł Danton. »Wróg rzeczypospolitéj i we mnie ma zaciętego wroga, ale wolność, niech nie będzie katem, krew niewinna niech nie płynie razem z krwią zbrodniarza, bo ta krew parnje ku niebu i zwiedzie grom na głowy nasze.«

»Mówicie o niewinnych ofiarach? I ja nie łaknę krwi niewinnéj. Ale pamiętajcie o tém, że wilk przywdziéwa skórę jagnięcą, aby tém bezpieczniéj utopić pazury!«

Danton wyjmując z kamizelki śrébrne piórko do zębów, odrzekł obojętnie: »Rozumiém, co chcecie powiedziéć. Ja znam pewną rzeczpospolitę, pastérz jéj widzi w każdém jagnięciu dzikiego wilka i poszczuwa je psami, aby miéć codzień krew świéżą, ciepłą.«

»Rzeczpospolita nie zmazała się krwią niewinną.«

»Niech się krwawe tułowy zrosną z trupiémi głowami, w które gilotyna swe kły zapuściła, a obaczycie liczne zastępy pomordowanych ofiar niewinnych!« zawołał Danton głosem gromu, rzucając od siebie piórko i okazując namiętnemi ruchy oburzenie swoje.

»A ja powtarzam swoje, że chwast jeszcze bujno zaléga Francyję i że się niejedna przytępi kosa, nim wyrwiesz z korzeniem jadowitą cykutę.«

»Krwi łakniesz, mordem dyszysz?« wrzasnął Danton, aż szyby u okien zadrżały. »Daléj mistrzu krwawego rzemiosła! Kąp się we krwi, stawiaj przy każdéj kolébce gilotynę, morduj, katuj, ćwiertuj, zagłusz jękiem umierających twoje sumienie! Bóg i Francyja przywoła cię przed swój trybunał! Pójdź Fabre, nie chcę z ludożercą siedziéć u jednego stołu! Pójdź za mną.«

Robespierre i Saint Just patrzyli z osłupieniem za odchodzącym w największej wściekłości — Dantonem. Następiła chwila milczenia. Saint Just rzuciwszy okiem na stoł, zawołał z wielką radością:

»O nieba, cóż ja widzę?«

»Cóż tam widzisz marzycielu«, zapytał Robespierre zimnym, powolnym głosem.

»Piórko do zębow, które Danton zostawił.«

»I nic więcej?« przemówił pierwszy mąż rewolucyi z gorżkim uśmiechem.

»To piórko będzie narzędziem upadku Dantona.«

»Czy jesteś w goraczce?.....«

»Spojrzyj jeno, oto widzisz na piórku liliję, a pod nią głoskę L....«

»Ta głoska znaczy?....«

»Ludwik Kapet.«

»Wybornie. To piórko wyda na niego wyrok śmierci; ono cię oskarzy dumny Dantonie, już widzę, jak się twoja głowa odcięta od tułowu, stacza pod moje nogi. Już Danton trupem. Pójdźmy St. Just.«

❋

Byłoto wieczorem dnia 14. *germinal* w drugim roku Rzeczypospolitej (3. kwietnia 1794). W czarodziejskim salonie Dantona bijącem od świateł, przepychu, bogactwa, siedzieli w około stołu jego stronnicy i członkowie klubu *cordeliers*. Pomiędzy nimi byli najznakomitsi: Camille Desmoulins i Chabot, Hérault de Séchelles, Phelipaux, Lacroix, Bazire, Fabre d'Eglantine. Wieńcem zasiadło liczne grono dam, pomiędzy którémi Lucylija małżonka Dantona jaśniała wdziękiem i urodą. Wieczory tego bożyszcza ludu, zwane: *soupers dinatoires*, były głośne za czasów rewolucyi.

Wschodzące słońce zastawało nieraz gości przy pełnych kielichach szampana. Tego wieczora bawiono się bardzo wesoło, — kielich krążył gęsto, śmiechem rozlegała się komnata, dowcip szedł z dowcipem na wyścigi. Jeden tylko Hérault de Séchelles siedział ponury i zadumany.

»Radość w około ciebie«, zawołał Danton śród wesołego grona, »a ty wiercisz oczyma w ziemię, jakaż myśl zaległa ci głowę?«

»Myślę o naszym wspólnym nieprzyjacielu, o Robespierze, o tym tygrysie w postaci ludzkiej. My oddajemy się tu radości, pijemy z pełnego kielicha słodyczy, niepomni, że Robespierre wraz z Saint Just. Billaut, Varennes i Barcre, ostrzą noże na zgubę naszą. Przed chwilą przewrócił Chabot solniczkę, to niedobre wróży!«

»Baw dzieci takiémi bajkami«, szydził Danton, »jesteś niewolnikiem zabobonu.«

»Gdyby to jedna ta myśl tylko mnie dręczyła! Ale co gorsza, widziałem we śnie nas wszystkich, jak tu siedzimy, w więzieniu.«

»Ha! ha! my w więzieniu, nie jestżeto zabawnie?« zawołał Fabre d'Eglantine, śmiejąc się na całe gardło.

»Powiém wam coś okropniejszego: widziałem nas wszystkich pod gilotyną.«

Danton porwał się z krzesła i zawołał z oburzeniem »Radbym poznał tego śmiałka, coby się poważył, mnie, Jérzego Danton oddać w ręce kata.«

»Czyż nie znasz téj hyeny, która się na wszystko gotowa rzucić, czyż nie znasz Robespierra?«

»Precz z dyktatorem! Śmierć tyranowi!« dzikim głosem zawtórzyło całe zgromadzenie.

»O, wznoście okrzyki, złorzeczcie mu pogardliwémi słowy, a ja wam powtarzam, że już za późno, że już stoimy nad przepaścia.«

»Ależ mój przyjacielu«, ozwał się jeden z grona. »Jeżli twoje senne widziadła chcesz nam wmówić za prawdę, toć i mój sen zasługuje na wiarę. Widziałem Robespierra z całym ogonem jego zauszników na rusztowaniu.«

»Nasz grób przedziela tylko kilka piędzi ziemi od grobu Robespierra«, zawołał Hérault de Séchelles wieszczym, uroczystym głosem. »Rewolucyja jak Saturn w mitologii rzymskiej, sama pożera swoje dzieci.«

»Porzućcie to zabobonne mędrkowanie«, rzekł Danton. »Ślepa nasza źrenica nie dopatrzy, co tam losy ukrywają na dnie!« A chcąc inny tok nadać niemiłéj rozmowie, zwrócił się do swojej małżonki z zapytaniem: »Droga Lucylijo, czy nie wiész gdzie się podziało moje piórko do zębów? Nadaremnie szukam go od owego wieczora, kiedy mnie bies wprowadził do towarzystwa krwią ociekłego Robespierra.«

»Teraz przypominam sobie«, przerwał mu Fabre, »żeś to piórko na stole zostawił.«

»Byłto pierwszy upominek od mojéj drogiéj Lucylii. Pierwsza głoska jéj słodkiego imienia, głoska *L.* była na niém wyryta.«

»Mój chrzestny ojciec ofiarował mi to piórko w podarku. Łatwo je poznać, bo duma mojego ojca kazała znaczyć każdą drobnostkę liliją burbońską.«

»Zachmurza się coraz bardziéj, niebawem grom runie«, zawołał Hérault de Séchelles w największej trwodze. »Piórko do zębów, a na niém wyryte lilije francuzkie — ach moje przeczucie spełniać się zaczyna!«

»Każ sobie krwi upuścić, co takie marzydła wylęga«, przerwał mu Danton głośnym śmiechem. »Pokąd duch w téj piersi, nie znam co niebezpieczeństwo!«

»Śmierć tyranowi! Precz z Robespierrem!« zewsząd ozwały się okrzyki. — W tejże chwili rozemknęły się drzwi salonu i ukazał się oficer otoczony dwunastą narodowymi gwardzistami.

»W imieniu Rzeczypospolitéj, wszyscy tu zgromadzeni, moimi więźniami jesteście. Oskarzono was, żeście wrogami Rzeczypospolitéj. Oto rozkaz uwięzienia, podpisany przez prezydenta rewolucyjnego trybunału François Dumas.« — Na te słowa trwoga obleciała całe zgromadzenie, Lucylija skrzyknąwszy boleśnie, padła bez zmysłów na ziemię, przestrach zatrząsł nawet odważniejszymi. Danton, sam tylko Danton śmiałém w koło powiódł okiem.

»Daléj za mną bracia!« zawołał wesoło, jak gdyby szedł na huczne bankiety. »Bywaj zdrowa droga Lucylijo. Uspokój się, obaczymy się wkrótce. Przed moim głosem musi zaniemieć ohydne oszczerstwo. Srom i hańbę rzucę na głowę nikczemnika, co się poważył brudzić jasne zwierciadło mojego honoru. Do widzenia się najdroższa Lucylijo.« — To mówiąc, ucałował czoło małżonki, a zarzuciwszy płaszcz na ramiona i wdziawszy niedbale kapelusz na głowę, zawołał: »A teraz bracia, czas, aby zajrzéć oko w oko naszemu wrogowi!« — Mury więzienia Luxembourg przyjęły Dantona i jego przyjaciół. — Nazajutrz zawieziono więźniów do *conciergerie*, a dnia 15. *germinal* (4. kwietnia) stanęli przed trybunałem rewolucyjnym. Gdy prezydent Dumas zapytał Dantona o nazwisko, zawołał tenże olbrzymim głosem: »Danton jest moje imię, znane w rewolucyi, w nicestwo zapadnie wkrótce mój dom okazały, ale moje imię żyć będzie w dziejowym pamiątek kościele!« — Groźne milczenie było odpowiedzią na dalsze pytania prezydenta, czasem tylko spojrzał z pogardą na swoich sędziów.

Z rozkazu wydziału rady zawiązanej celem bezpieczeństwa krajowego, dnia 16. *germinal* (dnia 5. lipca), skazano na śmierć Dantona i jego stronników, a majątek zagrabiono. Pobudka do oskarżenia i całym dowodem zbrodni: że Dantoniści chcieli na nowo wprowadzić

monarchiję: piórko do zębów z głoską *L.* i herb królów francuzkich.

Jeszcze tego samego dnia spadła głowa Dantona i kilkunastu jego stronników.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 9. i obejmuje: 1) O gołym owsie chińskim. 2) O cieczy nawozowéj z padliny. 3) Korespondencyja, w któréj podaje się sposób do wyléczenia choroby bydlęcéj grudą zwanéj. 4) O nowéj machinie do płukania kartofli i buraków. 5) Wiadomości czasowe.

Nowa maszyna do rozkładania powietrza. Profesor chemii w Florencyi Gazzeri, wynalazł bardzo sztuczną, ciągle w ruchu będącą maszynę, która zarówno na wolném powietrzu, jak i w zamkniętém miejscu rozkłada otaczającą atmosferę. Sposób użycia téj maszyny, jest bardzo prosty i pojedynczy. Wynalazek ten poda lékarzom, chemikom i badaczom natury nowy środek, do prędkiego i niezawodnego oznaczenia składowych części powietrza. Profesor Gazzeri, odbył pierwszą próbę téj maszyny w ogrodzie królewskiego muzeum w Florencyi i przekonał, że jest celowi odpowiadającą. Ten badacz natury, zamyśla ogłosić drukiem cały skład téjże maszyny, o któréj pisma włoskie twierdzą, że w szpitalach, fabrykach, piwnicach, da się z wielką korzyścią zastosować i posłuży do wykrycia szkodliwych wyziewów.

Mumija. Towarzystwo badaczów przyrody w Shrewsbury otrzymało w darze rzadką mumiję, mającą 3,000 lat, jak się to z napisów na bogatéj materyi okazuje. Tym skamieniałym trupem jest 21-letnia kapłanka, bogini Osiris, imieniem Tennonen-Rnons. Opaski z najlepszego płótna mimo tylu wieków są jeszcze dość mocne, a zęby mumii niczém nie uszkodzone.

Jak poznać zfałszowany cukier. Kuhlmann, chemik w Lille wynalazł sposób, którym można poznać zfałszowanie cukru z trzciny lub buraków, jeźli to pochodzi z przymieszki cukru z kartofli lub winnego grona. Sposób ten jest następujący: Rozgrzewa się cukier w gęstym rozwarze z potażu, jeźli cukier jest z kartofli lub winnego grona przybiera barwę brunatną jeźli zaś z trzciny lub z buraków, żadnéj nie doznaje zmiany w kolorze.

Czyn szlachetny. W jednem miasteczku w królestwie wirtemberskiém wydarzył się niedawno następujący, zabawny wypadek: Proboszcz tamtejszy miał w niedzielę kazanie, obrał sobie tema o miłości bliźniego, i zachęcając swych słuchaczy do dobroczynności, między innemi rzekł: »Gdy widzisz bliźniego, że nié ma szaty, a sam masz dwie, daj mu z nich jednę.« Po skończoném kazaniu cała gmina wyszła zbudowana z kościoła; jednakże żaden z parafijanów nie był tak mocno wzruszony tem kazaniem, jak pewien mularz, który miał na sobie mocno wytarty kaftan. Szczególniéj mowa o sukni uczyniła na nim wielkie wrażenie. Zadumany wyszedłszy z kościoła, udał się jak zwykle do browaru na skromny obiad. Nareszcie rozgadał się: »Ksiądz proboszcz ma zapewne dwie suknie«, rzekł, »mógłby mi łatwo jednę ustąpić; wszak ja nic mam tylko ten lichy kaftan, a on sam nauczał to w dzisiejszém swem kazaniu.« — Słowa te usłyszał piwowar i rzekł: »Łatwo tym panom gadać na ambonie, ale żeby sami tak czynili, jak nas nauczają, temu trudno dać wiarę; słuchaj, jeźli ksiądz proboszcz daruje ci suknię, ja ci dam dwa talary i dzbanek piwa.« — »Sprobuję«, odrzekł mularz, i powstawszy z miejsca, udał się do proboszcza. Przyszedłszy tam, przełożył skromnie swoję prośbę, i przytoczył słowa z kazania. Czcigodny kapłan zadał mu jeszcze niektóre pytania, aby się przekonać, azali i dalsza osnowa utkwiła w jego pamięci. A gdy egzamin wypadł pomyślnie, zacny kapłan otworzył szafę, dał mularzowi zupełnie dobrą suknię i pożegnał jak najuprzejmiéj. Mularz zdziwiony, że tak pomyślny skutek wzięła pokorna jego prośba, wdział czemprędzéj na siebie suknię nim jeszcze wyszedł na ulicę, a kaftan wziął pod pachę. Z radością na twarzy, powrócił do browaru. Piwowar zapomniał tymczasem o swojém przyrzeczeniu a nawet nie spodziewał się, aby mularz swój zamysł uskutecznił. Ujrzawszy go więc w porządnéj sukni, rzekł z zadziwieniem: »Do stu drabów, a ty zkąd masz tak piękny surdut?« — »Od księdza proboszcza, który mi go darował«, odrzekł mularz, »a teraz proszę o dwa talary i dzbanek piwa, niech się napiję za zdrowie naszego szanownego księdza proboszcza.« — Piwowar zawstydzony, że nie miał zaufania w dobroci zacnego kapłana, nie namyślał się długo, i dał co przyrzekł.«

Trafny docinek. Margrabina Coislin wyjednała sobie posłuchanie u pana Fouché, ministra policyi za konzulatu Napoleona. Fouché oparty łokciem na gzymsie kominka, przyjął tę wielką damę obojętnie, nie prosząc nawet, aby usiadła. »Przyszłam się dowiedzieć«, przemówiła margrabina, »jaką zbrodnię popełniła moja siostra, pani Avaray, że jéj losem ma być wygnanie?«—»Pani Avaray jest nieprzyjaciółką rządu«, odrzekł Fouché, »poważyła podnieść głos przeciw rządowi i była tak zuchwałą, że....«—»Co pan mówisz?« przerwała mu margrabina, »moja siostra zuchwałą? Ona miałaby podnieść głos przeciw piérwszemu konzulowi, ona, która jest tak lękliwą, że nie śmiałaby nawet powiedzieć: »Proszę cię panie ministrze, każ mi podać krzesło?«—Fouché zmieszany tą dotkliwą przemówką, podał margrabinie z uprzejmością krzesło i wygotował natychmiast pozwolenie dla pani Avaray, powrócenia do Paryża, chociaż powziął był stałe postanowienie, nie przychylić się do prośby margrabiny Coislin.

Przytomność umysłu. Za czasów cesarstwa francuzkiego, używano czasem nie bardzo chwalebnych środków wymuszania pieniędzy. Razu jednego był między innymi pewien bogaty kupiec, nazwiskiem Cordon w liczbie tych osób doniesiony, którzy w krótkim czasie wielki majątek zebrali, a na których bezpiecznie można było dobrowolną lub przymuszoną pożyczkę nałożyć. Raz przy sposobności dawanego festynu, zaproszono także żonę wspomnionego kupca. Napoleon czyniąc przegląd wszystkich tamże będących dam, stanął przypadkowo przed panią Cordon, chcąc się o jéj nazwisku dowiedzieć: »Mówią«, rzekł zwróciwszy się do niéj, »że pani bardzo bogatą jesteś.«— »Tak jest Najjaśniejszy panie«, odrzekła bez namysłu kupcowa, »mam dziesięcioro dzieci.« Napoleon uśmiéchnąwszy się, więcéj o pożyczce nie wspomniał.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.